

Lizystrata przy urnie

Postulat ograniczenia praw wyborczych mężczyzn, który u artystki był rodzajem krzyku duszy, udręczonej mileniami patriarchalnej opresji, prof. Sadura uzasadnia bardzo konkretnie i racjonalnie

Październik. Dawni poeci, a już na pewno dawni autorzy czytanek, pisaliby o delikatnej palecie barw. Ale dziś przez rzednące na drzewach ochry, spłowiałe zielenie i winne szkarłaty przebijają kolory zdecydowane i grubo ciosane: biel, czerwień i granat, biel, czerwień i czern; czern i granat, jajecznożółty i szczypta fioletu. Atakują wzrok, uderzają z każdego skrzyżowania ulic, formatują postrzeganie wszelkich prostokątnych banerów, plakatów i szyldów do tego stopnia, że zdarza mi się zastanawiać, z której listy kandydują manicure i dermabrazja lub powątpiewać, czy spawanie w osłonie argonowej (mocny szeryfowy font, granatowy z białoczerwonym serduszkim) to na pewno dobry pomysł na jedynekę listy.

Ta kampania przedwyborcza znużyła wielu: przez skalę uruchomionych emocji i środków, przez siłę wzajemnych oskarżeń, sięganie po apokaliptyczne emocje, przez zalew reklam drukowanych, papierowych i eksplodujących szybkim flashem na ekranie. Zawsze zachwycała mnie drugoplanowa bohaterka jednej z podróży Iona Tichego, starowinka, która trudniła się „tremobowaniem ślimaków, czyli przyuczaniem ich do układania się w odpowiednie wzory na święta państwowe”; dziś jednak cieszę się, że jest tylko fikcją, w innym bowiem przypadku znalazłoby się zatrudnienie dla dziesiątków starsuszek musztrujących ślimaki (również pomrowy), kawki i późne biedronki do układania się na kształt loga partii. A i bez nich mam wrażenie, jakby produkcja materiałów przedwyborczych stanowiła jedno z potężniejszych kół napędowych polskiej gospodarki: ile wizażystek, fotografów, plotterzystów, drukarzy, powroźników (kręcących linki, na których wieszane są transparenty), dziurkarzy (obrębiających przewleczeni, dzięki którym można napiąć plakat na linach) retuszerek, copyrighterów i farbiarzy zbiło przez ostatnie dwa miesiące fortuny nie

mniejsze niż właściciele kwater w Murzasichlu czy Krynicy Morskiej! Niech jeszcze swój grosz zarobią kaletnicy, szyjący designerskie torby ze zdjętych już poliestrowych plakatów, niech nabiją kabzy właściciele punktów skupu makulatury – i niech wreszcie oko spocznie na przebarwiających się liściach klonu, brzozy i sumaków.

Oczywiście, szydę, ale tylko trochę. Naprawdę więcej niż zwykle i więcej niż jest w stanie znieść wytrzymały nawet obserwator życia politycznego padało w ostatnich tygodniach oskarżeń o zdradę, *gerrymandering* i sprzeniewierzenie funduszy, więcej niż zwykle było twarzy na metr kwadratowych, wpatrujących się w nas niczym na akwafortach Edmunda Monsiela i aluzyjnych żarcików, grubych pomówień, chwytów poniżej pasa. Największe chyba wrażenie zrobił na mnie pomysł fundacji WOŚP – tak, ten z gigantycznym hasłem „Polacy! PokonaMY to Zło!!! WygraMY”, pod którym pięciokrotnie mniejszymi, wtapiającymi się w bure tło literkami pojawia się dopisek „z sepsą”. To znaczy nie tyle sam pomysł (ileż podobnych żartów słyszało się w męskiej szatni w podstawówce i od wąsatych wujków na weselach, któż nie zna wesołej przyśpiewki o Arabie, który jedzie sobie jedzie, wielbłąd pod nim hasa!) – ile to górnolotne oświadczenie Fundacji, że skądże, przecież nam chodziło o sepsę, o sepsę jedynie, profilaktyka medyczna na pierwszym miejscu, a jeśli komuś kojarzy się ta kampania z mobilizacją przedwyborczą, to jest to wyłącznie jego sprawa. Naturalnie, dogłądanie wielbłąda zawsze charakteryzowało Fundację w równym stopniu co odwaga cywilna, a skojarzenia są w oku patrzącego; szkoda tylko, że WOŚP troszczy się jedynie o Polaków, można przecież było przestrzec przed tą straszną chorobą cały świat. „Sepsa” to po angielsku „sepsis”, można było napisać „We shall overcome sePsiS”, wersaliki i boldowanie są tylko w oku patrzącego, mam nadzieję, że WOŚP i w przyszłych latach troszczyć się będzie o profilaktykę sepsy, nie szczędząc w tym celu zmarzniętych stóp kilkuletnich wolontariuszy.

Jaskółką (czy może fenkiem, czyli liskiem pustynnym) postępu były dla mnie od lat tzw. kampanie profrekwencyjne. Kampanie profrekwencyjne służą jak wiadomo w założeniu uaktywnieniu wszystkich obywateli, zwiększeniu ich zainteresowania sprawami *polis*, wzięciu przez nich bodaj cząstki odpowiedzialności. Mam jednak wrażenie, że od lat ich istotą jest zgalwanizowanie i elektoratu najbliższego inicjatorowi kampanii – czyli, tak naprawdę, ciąg dalszy pozyskiwania wyborców, tyle, że innymi środkami. Największa chyba w

Polsce inicjatywa, czyli „To Twój wybór!”, adresowana do młodych kobiet, uruchomiona została przez Inicjatywę Głos Kobiet, którą tworzą takie giganty polskiej sceny NGO-sowej jak Fundacja Batorego, Feminoteka, Fundacja Rodzić Po Ludzku, Komitet Obrony Demokracji oraz Piaseczyńska Rada Kobiet – i proste, choć może nie do końca bezstronnie sformułowane pytania kampanijne („prawo do aborcji czy rejestr ciąży?”) jasno wskazują, które wyborczynie powinny zostać zmobilizowane do jednoznacznego gestu różowym długopisem, stanowiącym logo kampanii.

Być może jednak tego rodzaju wysiłki nie będą potrzebne, jeśli ziści się koncepcja prof. Przemysława Sadury – wykładowcy Instytutu Socjologii UW, kuratora Instytutu Krytyki Politycznej, współautora (ze Sławomirem Sierakowskim) świeżo wydanej książki „Społeczeństwo populistów” i współzałożyciela Fundacji Pole Dialogu. W wywiadzie dla tygodnika „Wysokie Obcasy” z 4 października prof. Sadura, oceniając (nie)dojrzałość wyborców i wyborczyń, wysunął mianowicie ciekawą, dialogiczną myśl: jego zdaniem miałyby, być może, sens sprawienie, by mężczyźni głosowali kilka lat później (tj. w doroslejszym wieku) niż kobiety. Dlaczego? Dla dobra demokracji, odpowiada profesor.

Myśl o ograniczeniu praw wyborczych mężczyzn nie jest całkiem nowa, miała ją okazję sformułować Agnieszka Holland podczas dyskusji na tegorocznym Campusie Polska. To jednak, co u artystki stanowiło rodzaj krzyku duszy, udręczonej mileniami patriarchalnej opresji, prof. Sadura uzasadnia bardzo konkretnie i racjonalnie: oto z badań, jakie prowadził był „wśród uczniów szkół branżowych na Warmii” (są to badania, które posłużyły już do uzyskania habilitacji i stały się podstawą książki „Państwo, szkoła, klasy”, wyd. KP, 2017) wyłania się jednoznaczny obraz: „Już nastoletnie [dziewczyny] są niezwykle świadome procesów politycznych i zagrożeń, jakie niosą ze sobą rządy prawicowych populistów”. Chłopcy zaś świadomi nie są: głosują na Konfę, „wiedzę czerpią z TikToka” i rozpaczliwie brakuje im empatii.

Jest to ciekawa myśl, która – jak się wydaje – niepotrzebnie pozostała niedopowiedziana. Oczywiście, można poprzestać na „cenzusie empatycznym”, którego uzyskanie dopuszczałoby do udziału w wyborach. Można prokrastynować, rozważając udzielenie głosu mężczyznom dopiero od chwili ukończenia 35, 40, 55 głosu życia.

Są to jednak wszystko działania połowiczne i wymagające angażowania dodatkowych środków. Testowanie empatii wymagałoby infrastruktury i ekspertów – rzecz generująca koszty, nawet, jeśli założyć, że posiadania empatii dowodzi po prostu niechęć do rządów prawicowych populistów. Znacznie, naprawdę znacznie prościej byłoby uznać, że dla dobra demokracji mężczyźni, jako niezdolni do rozpoznania i odrzucenia prawicowych populistów zostają z definicji pozbawieni prawa głosu. Można rzecz rozwiązać również inaczej, unieważniając po prostu wszystkie głosy, które padną na inne ugrupowania niż te, które wybiorą empatyczne, nastoletnie wyborczynie. Zniknie wówczas w perspektywie kilku lat konieczność organizowania kampanii profrekwencyjnych, walki z sepsis – a i jesienny krajobraz wypięknieje.

Wojciech Stanisławski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

